



Jerzy Pertkiewicz

część I z II

Sygnatura notacji: **N1215**
Data urodzenia: **25.02.1920 r.**
Data nagrania: **23.10.2017 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Tarnów, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 76 min, część II: 70 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Tomasz Sikorski: Panie pułkowniku, proszę powiedzieć, gdzie i kiedy pan się urodził, o rodzicach, o rodzeństwie, o miejscu urodzenia, o Czortkowie, o czasach szkolnych, o relacjach ludzi mieszkających w Czortkowie przed wojną, Polaków, Żydów, Rusinów.

Jerzy Pertkiewicz: Moje życie układało się w różnych regionach Polski. Urodziłem się na Podolu, w Czortkowie. Jest to urocza miejscowość leżąca nad Seretem. Tam spędziłem swoje dzieciństwo, dzieciństwo naprawdę takie sielskie, anielskie, w patriotycznej rodzinie. Ojciec mój był początkowo oficerem armii carskiej. Dlaczego? Bo kończył bowiem medycynę w Kijowie, jak wybuchła wojna, wcielili go do wojska, do szpitala Czerwonego Krzyża. To nie był szpital wojskowy, ale szpital polowy, pomocniczy szpital polowy. I gdy wybuchła rewolucja w Rosji, ojciec szpital ten ewakuował do Czortkowa, a ponieważ wybuchła tam epidemia cholery, zamienił ten szpital chirurgiczny na szpital epidemiologiczny. Z mamą poznał się w Kijowie. Mama była pielęgniarką. Wtedy to się nazywało jakoś inaczej, siostra pogotowia sanitarnego. I osiedli w Kaliszu, ja tam się urodziłem. Z moich przodków, to pradziadek brał udział w powstaniu styczniowym. Jest tu nawet portret jego. A dziadek mój był, żył w czasach przełomowych XIX i XX wieku. I w 1905 roku, jak wybuchł strajk młodzieży we Wrześni, gdy młodzież nie chciała odmawiać pacierza w języku niemieckim, to się rozszerzyło na cały obszar Wielkopolski i również w Kaliszu wybuchł strajk w gimnazjum, w gimnazjum Asnyka. Dlaczego mówię o tym, bo to gimnazjum Asnyka to jest też jakby naszym rodzimym gimnazjum. Tam chodził mój dziadek, kończył, mój ojciec, ja, stryjek, no i stryjka dzieci. W Kaliszu również zaczęły się ruchy szkolne, którym patronował dziadek. Jak sprawa ucichła, dziadka aresztowali, wywieźli na Sybir, no, ale został dziadek wykupiony z carskich rąk. Tak że potem już nie pracował jak poprzednio, w urzędzie jakimś, tylko

pracował jako pisarz gminny. Natomiast ojciec po zakończeniu wojny w osiemnastym roku prowadził nadal ten szpital. Tak jak powiedziałem, to był szpital epidemiologiczny, wybuchaty zarazy. I ostatnią zarazą, która wybuchła, to była czarna ospa, niestety tragicznie zakończona dla mojej rodziny, bo ojciec przyniósł czarną ospę ze szpitala do domu i siostra moja zmarła na czarną ospę. Wtedy nie było jeszcze szczepionek. Ja się wychowałem w atmosferze radości z odzyskania niepodległości. W Czortkowie stacjonował pułk, nie pamiętam, który to był, ale to był KOP. Odbywały się parady wojskowe. Pułk posiadał własną orkiestrę. Dla nas, dla dzieci to było wielką frajdą. I tutaj mam takie miłe wspomnienie. Ja chowałem się wśród dzieci ruskich, którzy tam mieszkali w sąsiedztwie. Były też dzieci uciekinierów rosyjskich, których dzieci mówiły po rosyjsku. Więc ja mówiłem w domu po polsku z rodzicami, a z dziećmi mówiłem jako tako w języku albo ruskim, albo rosyjskim, bo oni nie znali jeszcze wtedy polskiego. Ojciec nie mógł pracować dalej w szpitalu, ponieważ wszystkie dokumenty zostały w Kijowie na uczelni, a... Ojciec się zwrócił do Kijowa, powiedzieli, że wydają tylko... Osobiście trzeba było przyjechać. W związku z tym ojciec przerzucił się na farmację, skończył farmację na Uniwersytecie Jana Kazimierza i jako farmaceuta potem, w dwudziestym szóstym chyba roku, tęskniąc za stronami rodzinnymi, chciał się przenieść do Sieradza, w tamte strony, bo nasz ród Pertkiewiczów ma korzenie w Sieradzu. W Sieradzu to połowę Pertkiewiczów była... Połowa ludzi to Pertkiewicze. Nie było posady w Sieradzu, była w Zduńskiej Woli. Pracował, był rok w Zduńskiej Woli, a potem przeniósł się do Kalisza, do ubezpieczalni społecznej. Kalisz to piękne miasto. Urocze miasto z tego względu, że w środku miasta jest duży park, olbrzymi park. To był największy park śródmiejski w Polsce, otoczony ramionami Prozny, więc dla nas był to idealny teren wypadowy, wycieczek, spacerów. Naturalnie chodziłem do gimnazjum Asnyka, do tego gimnazjum, do którego chodził też mój ojciec i dziadek. To już była tradycja. Chociaż nie miałem zdolności humanistycznych, ale to było gimnazjum humanistyczne, więc żeby jednak zachować tradycję, wbrew moim zdolnościom zostałem tam zapisany. W gimnazjum działała bardzo prężnie drużyna harcerska, drużyna harcerska, która powstała w szesnastym roku, im. Sienkiewicza. Nabór do drużyny był bardzo wielki. To była drużyna, która posiadała ponad sześćdziesięciu członków, tak że była podzielona na grupy... Plutony młodszych i starszych harcerzy. To było gimnazjum ośmioklasowe jeszcze. Z tą drużyną harcerską jeździłem co roku na obozy. Na pierwszy obóz to nie bardzo chciałem jechać, ale rodzice, no, nas bardzo hartowali. Jak była wola rodziców, to trzeba było zawsze wykonać. Rodzice pojechali na wakacje, gdzieś pojechali na wakacje, a ja natomiast musiałem jechać na obóz harcerski. Pojechałem na obóz harcerski, a potem na drugi. Byłem potem na Zlocie Skautów Słowiańskich w Pradze, w następnych latach w Gödöllő na Jamboree. Miałem tę satysfakcję, że widziałem z bliska Baden-Powella, przed Baden-Powellem myśmy defilowali i przebywaliśmy na obozie, polskim obozie. To są niezatarte wspomnienia. Takim też miłym wspomnieniem z tych moich wyjazdów zagranicznych było to, że po zakończeniu zlotu w Pradze, jak i zakończeniu zlotu w Gödöllő, na koszt państwa wędrowaliśmy po Śląsku Zaolziańskim w tym celu, żeby nawiązać kontakt z polską ludnością, a wieczorem urządzać ogniska, śpiewać razem z nimi. Te ogniska, chociaż to już tyle lat, jak dziś pamiętam, jak gromadnie przychodzili ludzie, młode dzieci siadały koło nas i uczyły się od nas śpiewu. Bo myśmy śpiewali nie tylko polskie pieśni patriotyczne, ale też i narodowe. Potem każdy taki... To w czasie... na Buczu harcerskim, to jest koło Skoczowa. I tak co roku jeździłem na obozy. Miałem jechać na obóz do Spały, ale... W zawodach pływackich na jeziorze. Stanąłem jakoś nieszczęśliwie albo na szkło, albo na coś innego, uszkodziłem sobie nogę, przeciąłem sobie żyłę, tak że musiałem zamiast na... Do Spały, to pojechałem do szpitala na cały miesiąc. Ale z harcerstwem utrzymywałem kontakt przez cały czas, nawet będąc już w podchorążówce, również tam należałem do kręgu harcerzy podchorążych. Szkoła. Szkoła o wielkich tradycjach, dała mi dużo, bo oprócz zajęć szkolnych każdy z nas

musiał brać udział w jakichś zajęciach zainteresowań. Ponieważ pochodziłem z muzycznej rodziny, moja mama skończyła konserwatorium muzyczne we Lwowie, ja się uczyłem na skrzypcach. Brałem udział w orkiestrze smyczkowej, szkolnej, a oprócz tego mieliśmy orkiestrę dętą. Tak że w każdą niedzielę była zbiórka wóół do dziesiątej na boisku szkolnym i czwórkami chodziliśmy do szkoły, do kościoła, z orkiestrą. W tym czasie, czyli w roku trzydziestym pierwszym czy drugim, dowódcą dywizji w Kaliszu był generał Tokarzewski. Wspaniały człowiek. On interesował się bardzo młodzieżą, opiekował się naszą drużyną. I właśnie jak jechaliśmy na Jamboree, to on postarał się o to, żebyśmy my mieli wszyscy jednakowe tornistry, jednakowe koce, jednakowe menażki i buty. To były małe buty dziecięce, ale kazał zrobić też i dla nas buty wojskowe. Wręczył nam, jak tam był... W trzydziestym któryms roku, otrzymaliśmy sztandar, nasza drużyna i on wręczał ten sztandar. Później, w czasie wojny, w Warszawie, spotkałem się z generałem Tokarzewskim całkiem przypadkowo, ale to już inna sprawa. Po zdaniu matury był komers, to znaczy takie skromne przyjęcie, herbatka z ciastkiem w gronie nauczycieli, takie pożegnalne. Na ten komers został zaproszony adiutant dowódcy pułku. To był rok trzydziesty ósmy, bardzo napięte stosunki między Niemcami a Polską, Hitler już wtedy był w pełni władzy. I wówczas adiutant zwrócił się do nas z taką propozycją: „Panowie, każdy z was kto skończył osiemnaście lat, może wstąpić do szkoły podchorążych rezerwy. To nie jest obowiązek, bo możecie wybrać albo szkołę podchorążych, albo iść na studia, ale Polska jest w takiej sytuacji, że potrzebuje żołnierzy”. Więc na ten apel cała klasa się nasza zgłosiła. Żydzi, ewangelicy, Rosjanie – wszyscy. Byliśmy... Była taka klasa mieszana. Ale zostali tylko przyjęci, którzy mieli skończone osiemnaście lat, wśród nich byłem ja. W szkole jaka panowała atmosfera. Kalisz to było miasto graniczne. W czasie zaborów, zaraz za Szczypiornem, między Skalmierzycami a Szczypiornem, to jest około dziesięciu kilometrów od Kalisza, była granica. Z Kalisza przenikały z zaboru austriackiego wpływy na Wielkopolskę, a z Wielkopolski wpływy do Kalisza. W Kaliszu było sporo osadników niemieckich, którzy już na początku XIX wieku przyjechali, żeby germanizować Kalisz, ale stał się odwrotny stosunek, oni się spolonizowali całkowicie. Tak samo i Rosjanie, którzy okupowali Kalisz, ich dzieci, nie wróciły po rewolucji bolszewickiej do Rosji, zostały w Kaliszu, również się spolonizowały i chodziły do gimnazjum. W mojej klasie to był taki konglomerat: wychowawcą był Tatar, matematyk, Mustafa Gembicki. Polaków była większość. Byli Żydzi, ewangelicy i prawosławni. Ci prawosławni to byli albo właśnie tych Rosjan, którzy zostali... I obok Kalisza w Noskowie, Piłsudski tam urządził takie miasteczko dla tych Kozaków, którzy byli w armii Petlury i po wojnie nie mogli wracać do Rosji, osiedlili się w tym Noskowie. Tam pobudowano odpowiednie baraki, oni tam mieli swoją taką enklawę. Zajmowali się malarstwem i jak to Rosjanie, pięknie śpiewają. Mieli zespół chóralny, zespół mandolinistów, który urządził koncerty w Kaliszu jak i też innych miastach. Chociaż było tak dużo mniejszości, między nami nie było żadnych tarć. Żyliśmy naprawdę na stopie koleżeńskej i przyjacielskiej z kolegami z różnych narodowości, mimo, że były w Tarnowie wpływy endeckie, które spływały z poznańskiego, ale one jakoś się nie przyjęły. Szkoła podchorążych rezerwy piechoty w Szczypiornie, to była dla mnie szkołą życia. W domu, jak to w domu, normalne warunki, żyje się... Rodzice nas rozpieszczali, chociaż były surowe warunki w domu, ale zawsze był ten serdeczny nastrój między rodzicami a mną i bratem. Natomiast jak się poszło do szkoły podchorążych, tam zupełnie inne warunki były, surowe warunki, bo to szkoła podchorążych, przyszłych oficerów. Więc naprzód był okres rekrucki, potem był okres już normalnego szkolenia. Były zajęcia przed południem, zajęcia terenowe, po południu szkoleniowe wykłady. Dużo ćwiczeń, zakończone manewrami, egzaminem i rozdaniem dyplomów. Ja skończyłem w pierwszej dziesiątce i skończyłem ze stopniem plutonowego podchorążego, a to było ważne, bo niektórzy skończyli ze stopniem plutonowego podchorążego, inni kaprala podchorążego, a plutonowy podchorąży to miał prawo awansu w ciągu trzech lat na sto-

pień oficerski. Skończyła się szkoła podchorążych, skończył się obóz manewrowy. Urlop dostałem. Dumny, w mundurze podchorążego, z kolegami maszerowaliśmy deptakiem po Kaliszu, dziewczyny się za nami oglądały, a my za dziewczynami, jak to w młodości. I nagle mobilizacja. Ściągnięto nas z urlopów, do koszar, przemundurowanie w mundury już wojskowe nowego typu. Wydano nam karabiny, ostrą amunicję i na pozycje obronne wokół Kalisza. Kalisz nie był ufortyfikowany, ale miał od strony zachodniej wykopane szańce i okopy, Mosiny, z bunkrami strzeleckimi. Myśmy to zajęli od strony Kościelnej Wsi. Pamiętam, 1 września pierwszy nalot. Leciały samoloty wysoko, trudno było rozróżnić i myśmy myśleli: „Jakie te nasze samoloty piękne”. I patrząc się tak w górę, nagle zobaczyliśmy, że koło tych samolotów wybuchają pociski. A to leciały niemieckie samoloty i nasza artyleria ostrzeliwała ich. Strącono tam jeden samolot. I zorientowaliśmy się, że to już jest wojna, rozpoczęła się wojna. Po trzech dniach dostaliśmy rozkaz ewakuacji. Ponieważ byliśmy w Armii „Poznań”, więc z tą całą Armią „Poznań”, w grupie generała Knolla, przeszliśmy cały szlak bojowy aż do Warszawy poprzez Ceków, Turek, Kutno, Dąbie nad Nerem. Potem bitwa nad Bzurą. To była bardzo wyczerpująca bitwa. Dlaczego wyczerpująca? Bo, proszę panów, w ciągu dnia byliśmy na pozycjach obronnych albo w natarciu. Ale jak myśmy cały dzień walczyli, Niemcy nas rozpoznali i w końcu zaczęli ostrzeliwać artylerią, wyrządzając nam duże straty, więc trzeba było się w nocy przemieszczać. Więc po nieprzespanym dniu, była noc nieprzespana, trzeba było maszerować kilkanaście kilometrów na inne pozycje. Pas obronny się kurczył coraz bardziej. No i wtedy sobie, do dzisiaj to utkwiło, tak sobie pomyślałem: „Jak to Sienkiewicz kiedyś fantazjował, że żołnierze jechali na koniach i spali”. A ja się przekonałem, że można spać, a właściwie drzemać, idąc. Żołnierze brali się pod rękę, zamykali oczy i równomiernie szli, szli, drzemając. Ja jednak, jako początkowo zastępca dowódcy plutonu, musiałem pilnować całości, żeby się wojsko nie rozciągało. Oczy mi się zamykały. Czasem zamknąłem oczy. Nim otworzyłem oczy, wpadałem na drzewo albo w rowie. Wtedy przychodzi do mnie mój kapral obserwator, mówi: „Panie podchorąży, pan nie pali papierosów, ale tutaj mam papierosa, niech się pan sztachnie, to pan poczujecie w bebechach”. Faktycznie. Zacząłem wtedy palić papierosy. Bo otrzeźwiałem. Działo to kilka godzin, później znowu papierosy i tak nauczyłem się palić papierosy. Paliłem tylko w nocy. Dużo można by mówić o bitwie nad Bzurą, bo to była bitwa... Zdobywanie dworca Ozorków, krwawe, bardzo ciężkie. Trzeba było przejść zaporę ognia artyleryjskiego. Nadzialiśmy się na czołgi niemieckie. W końcu zdobyliśmy ten dworzec Sierpów. Potem w stronę... Maszerowaliśmy... Na odcinku gdzieś... Trudno przypominać sobie teraz te miejscowości, ale w kierunku na Leśmierz, na Ozorków. W końcu Młodzieszyn, przeprawa przez Bzurę. Bardzo to była ciężka przeprawa przez Bzurę, bo byliśmy ostrzeliwani przez lotnictwo i przez artylerię. A nasz pułk był w tej fazie przeprawy przez Bzurę, nasza kompania była kompanią osłonową artylerii. Artyleria, działa, jeszcze artyleryjskie były ciągnięte przez konie. I utkwił mi taki moment: konie wchodziły do rzeki, zatrzymują się, piją wodę i nie było siły, żeby ich pognać. Dopiero wtedy jak pierwsze konie zatrzymały się, to woźnice z innych jaszczy zsiadali, napoili konie i dopiero wtedy mogliśmy się przeprowadzić przez Bzurę. Ja tam miałem ubezpieczenie z prawej strony. Stoczyłem krótką, ale skuteczną walkę z Niemcami, którzy chcieli nas zaskoczyć. Miałem do dyspozycji karabin maszynowy. Tak że udało się przejść przez tę Bzurę, ze stratami, jak to bywa na wojnie. Doszliśmy do Puszczy Kampinoskiej i nasz pułk maszerował drogą piaszczystą, drogą piaszczystą, którą też ewakuowana była artyleria. I utkwił mi w pamięci taki, jak padły konie z wysiłku i artylerzyści sami zaprzęgli się do tego zaprzęgu, i ciągnęli te działa po tej piaszczystej drodze. Myśmy się wtedy do nich dołączyli, pchali, żeby to jednak wypchać na jakąś możliwie twardszą drogę. 10 września trzydziesty dziewiąty rok to była niedziela. Nacieraliśmy od strony Łęczycy w kierunku Sierpowa, wzdłuż toru kolejowego. Moja kompania szła, nacierała na prawym skrzydle i zaraz po opuszczeniu Łęczycy, Niemcy nas zaczęli ostrzeliwać

artylerią. Był to ogień zaporowy. Na czym polega ten ogień zaporowy – że pociski wybuchają w niedużej odległości jeden od drugiego, a zasięg ranienia tych jest nawet i ponad sto metrów. To zależy od pocisku i od zapalnika. Myśmy byli szkoleni, jak pokonywać ten ogień zaporowy. Więc jeśli wybuchł jakiś granat artyleryjski, to z miejsca trzeba było biegiem do tego miejsca, gdzie wybuchł ten granat, bo nigdy pocisk artyleryjski nie pada w to samo miejsce, bo po każdym strzale artylerii następuje poruszenie się działa, trzeba je na nowo ustawiać, na nowo celować i nie zdarza się, żeby trafiła w to miejsce. Ogień zaporowy jest dawany zawsze przed nami. Wśród nas, żołnierzy, było wielkie napięcie – zdążyć przeskoczyć. Zdążyć przeskoczyć jakoś, żeby uniknąć ranienia. Ja byłem w tak wielkim napięciu, że nawet nie wiem, kiedy zostałem ranny w rękę, w ramię, tutaj. Bo człowiek młody, stres. W końcu już dochodziliśmy do, blisko dworca, tam do pozycji niemieckich. Mój pluton był wysunięty zupełnie na prawo, na prawym skrzydle. Ja dałem rozkaz: „Bagnet na broń!”. Wszyscy bagnet na broń, krzyczymy: „Huraaa!”. I proszę państwa, ku naszemu zdumieniu, Niemcy nie podjęli walki, poddali się. Część uciekło, część poddało się. Zdobyłem pierwszych jeńców. Wielkie to wrażenie. No i co mam z nimi zrobić, tak? Przecież natarcie musi iść dalej. Ale to był dworzec. Kazałem zamknąć tych jeńców w poczekalni, postawiłem wartownika. I wtedy podchodzi do mnie jeden żołnierz, mówi: „Panie podchorąży, mamy tutaj dywersanta”. „Co jest?”. „A! Tu jest jeden żołnierz, który jest dywersantem”. Ja podchodzę, patrzę się na niego, a siedzi żołnierz niemiecki, ma opuszczone spodnie i dużą ranę tutaj na, między kolanem a biodrem. Krwawiąca rana. Mnie to zaskoczyło. Wołam sanitariusza, a ci mówią, żołnierze... psychoza już była taka – że to jest szpieg. Dlaczego szpieg. Bo on się nazywał Chlodowski i miał na koszuli wyhaftowane, jak to każdy w Niemczech, „Chlodowski”. I się pytam: imię i nazwisko, po niemiecku. On mówi: Ich bin Chlodowski. Były dokumenty, sprawdzam, tak samo. Wy tłumaczyłem żołnierzom, o co chodzi, kazałem go opatrzyć i go zostawiliśmy, żeby potem go zabrali sanitariusze. Dlaczego mówię o tym Chlodowskim. No bo to jest takie: góra z górą się nie spotka, ale ludzie spotykają. Po powrocie do Kalisza – taką dygresję zrobię – ze szpitala, byłem jeszcze obandażowany. Nie miałem cywilnego ubrania, tylko mundur wojskowy i mundurek jeszcze szkolny. Więc trzeba było popruć ten mundur wojskowy, ufarbować, bo był rozkaz oddawania mundurów wojskowych i przerobić na cywilny. Ale przyszedłem do miasta, stanąłem przed wystawą z materiałami na ubrania, tak się patrzę, który by tu był... Jest tani, można byłoby go kupić. Koło mnie staje żołnierz o kulach i mówi do mnie: Guten Tag, Herr Offizier. Ja mówię: Ich bin kein Offizier. A on mówi: Ich bin Chlodowski. Ja się wypieram, mówię: „Ja nie jestem oficerem”. A on mówi, że on był ranny pod Łęczycą i jest teraz w szpitalu tutaj, w Kaliszu, wychodzi na przepustkę. Ale on mnie poznaje i chce mi dać swoje kartki żywnościowe. Proszę panów, dla mnie to była bardzo kłopotliwa sytuacja, bo myśmy się w Kaliszu wszyscy znali, a tu Niemiec do mnie podchodzi i rozmawia, w komitywie takiej. Ja się musiałem wyprzeć, że ja nie jestem tym, za kogo on mnie bierze. Ale jaki przypadek. W natarciu w kierunku Sierpowa, w natarciu idącego z Łęczycy, byłem ranny w rękę. Nie odczułem tego, bo byłem w takim stresie. Ale dopiero wieczorem, jak nas zluźowali i skierowali nas na drugą stronę drogi. Tam była taka, nie wiem, czy w tej chwili jest, ale była cegielnia, duża cegielnia. Było ustawionych przed cegielnią dużo tych cegieł już wypalonych, a myśmy pokotem spali w cegielni. Człowiek zmęczony, zasnąłem od razu, ale w nocy się zbudziłem i coś mi tak ta ręka przylega do koszuli. Ruszyłem rękę, koszula przylepiona do ciała. Odczepiłem, zaczęła krwawić. Zobaczyłem na ręce krew, no i wtedy dopiero zaczęło mnie boleć. To zrobiłem sobie opatrunek i potem w dalszym ciągu brałem udział w bitwie, wszystkich walkach, co trwały nad Bzurą. I tego dnia maszerowaliśmy przez Kutno, tam był szpital wojskowy. I myślę: „Pójdę do tego szpitala, żeby mi tę ranę opatrzyli”. Przyszedłem do szpitala. Nie ma światła w ogóle, ciemno, tylko przy świeczkach i lekarz operuje. Pielęgniarka czy ktoś tam, mówi: „Musi pan odczekać, bo naprzód operacja,

opatrunki później. A ja panu tylko zrobię, tutaj tylko plastrem to zalepię". I na tym się obyło. No, ale wracając w dalszym ciągu do tego. W Młodzieszynie, tam w Młodzieszynie był dwór. Nie wiem, czy teraz jest, niedaleko Bzury. Tam kwaterował sztab pułku. Tam przeżyłem też taką historię. Dowódcą pułku był pułkownik Gryl, którego znałem przed wojną z pułku. A ja zostałem tam skierowany, nie wiem, w jakim celu do pułkownika. I w pewnym momencie pułkownik dzwoni... Do pułkownika dzwoni artyleria, że na nich nacierają czołgi, co mają robić. Pułkownik mówi: „Strzelać! Strzelać aż do wyczerpania amunicji”. Po chwili woła mnie, mówi: „Panie podchorąży, niech pan weźmie dwóch ludzi na patrol, pójść do porucznika, pamiętam, porucznika Boryczki – to nazwisko... Do majora Boryczki i powiedzieć mu, że tam o którejś godzinie ma się wycofać w stronę brodu nad Bzurą”. Ja mówię: „Ale nie mam tu żołnierzy”. A pojawiło się dwóch młodych harcerzy. „My pójdziemy z panem”. Ci dwaj młodzi chłopcy poszli ze mną. Szliśmy drogą okrężną. Dotarłem do dowódcy, przekazałem mu meldunek i potem poszliśmy na skróty wzdłuż lasu, wzdłuż lizjery lasu. I koło lasu było zabudowanie. Byłem głodny. Mówię: „Wstąpimy do tego zabudowania, może tam coś dostaniemy jeść”. Weszliśmy do środka – pusto, tylko na półce były konfitury. No więc te konfitury my sobie jemy. W tym czasie jak my jesteśmy w tym, podchodzi dwóch Niemców. My ich widzimy, zrobiliśmy zasadzkę. „Ręce do góry!”, Niemcy podnieśli ręce do góry. Zabraliśmy im broń. Ci harcerze naturalnie ucieszeni, bo dostali karabiny i pasy. Prowadzimy tych jeńców do... Zaprowadziliśmy do sztabu, żeby tych jeńców przesłuchali, poza tym, żeby zasięgnąć języka. I dlaczego mówię o tych harcerzach? Bo ci harcerze się trzymali mnie już do końca wędrówki do Warszawy. Spisali się bardzo dzielnie. W Puszczy Kampinoskiej, gdy Niemcy nacierali z jednej strony, nie pamiętam, jaka to miejscowość, oni z tymi karabinami strzelali do tych Niemców razem z nami. Ja ich przedstawiłem potem do Krzyża Walecznych i oni dostali Krzyż Walecznych, ci młodzi chłopcy. W Puszczy Kampinoskiej wojsko się tam rozsypało, bo były ciągle naloty nieprzyjacielskie. Niemcy rzucali bomby bezplanowo. Widzieli tylko, gdzieś coś się rusza, już sztukaszy nurkowały i bombardowały nas. Puszcza Kampinoska pochłonęła dużo ofiar tych. W końcu dotarliśmy do Łomianek. Tam jest taka miejscowość koło, na skraju. Tam była koncentracja, zbiórka całego batalionu... Przepraszam, całego pułku. Z naszego batalionu zostało bardzo mało. Jak się po wojnie okazało, że pod łączyczą zginęło 505 żołnierzy z naszego pułku, w tych działaniach na Sierpów, Ozorków czy Leśmierz. To jest duża ilość, 505 żołnierzy. A to już dane są po wojnie, bo byłem tam na cmentarzu i czytałem. Stamtąd trzeba się było już przedostać do Warszawy. Nocą przemaszerowaliśmy do miejscowości Młociny. To jest za Bielaniem, w stronę zachodnią. Tam zasililiśmy placówkę, placówkę obronną, koło szosy. Ciężka to była walka, bo Niemcy nacierali, my byliśmy okopani, przetrwaliśmy cały dzień. Wielkie ofiary. Dwóch moich kolegów, podchorążych było ciężko rannych. Jednemu urwało rękę, drugi był ciężko ranny w nogę. Odtransportowaliśmy ich do szpitala. A wieczorem wycofujemy się już na Warszawę. Ale ponieważ byliśmy placówką, więc myśmy byli tą grupą osłonową od strony frontu z Niemcami. Wycofujemy się w stronę Bielania. Szosa biegnie wzdłuż Wisły i przed Bielaniem, po prawej stronie jest wioska jakaś. Idziemy do tej wioski, a wioska już jest zajęta przez Niemców, więc batalion się wycofał. Wycofaliśmy się, ale Niemcy otwierają do nas ogień. Wtedy do mnie mówi dowódca kompanii, powiedział: „Ty [jesteś] harcerz – mówi – ty wiesz, jak skrycie podejść i zlikwidować ten karabin maszynowy”. „Rozkaz, panie kapitanie”. Na to mój przyjaciel, dowódca plutonu, podporucznik Dopierała mówi... Bo chociaż był starszy ode mnie, ale byliśmy ze sobą na „ty”. „Pójdę z tobą”. Zaszliśmy od tyłu karabin maszynowy. Ja ustawiłem na takim... Jakieś drzewo takie było. Na tym drzewie, w rozwidleniu, ustawiłem ręczny karabin maszynowy. Widziałem, skąd idzie ogień. Nie widząc przeciwnika, otworzyłem serię ciągłą. Jeden magazynek, drugi magazynek, a kolega porucznik mówi: „Wystarczy, oni już zamilkli”. Wyskakuję, żeby dojść do tego karabinu maszynowego. Któryś Niemiec się podniósł, strzelił do nie-

go, dostał w tętnicę i przy mnie, waląc się na mnie, skonał. Mój przyjaciel taki. Tak że miałem mundur skrwawiony, całą prawą rękę. Ale w ten sposób umożliwiliśmy dojście całego batalionu do Warszawy. Ja się później wycofałem z moją grupą, drogą szedłem, doszedłem. Wchodząc do Warszawy, spotkałem pułkownika Gryla. Pyta się: Czy ja zlikwidowałem ten karabin maszynowy? Powiedziałem: „Ja”. No to mi szczerze pogratulował. I nasza jednostka dostała przydział obronny na strzelnicę właśnie CIWF-u, Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego, o którym mówiliśmy. Tam zaciągnęliśmy pozycje obronne, a mój pluton, bo ja wtedy byłem dowódcą plutonu otrzymał rozkaz obsadzenia cmentarza włoskiego. To jest w niedalekiej odległości, po tej samej stronie drogi co CIWF. Zająłem tam pozycje obronne. Rusza natarcie. My zza tego muru oczywiście silny ogień do Niemców. Niemcy się wycofali. W tym czasie ja dostaję też rozkaz wycofać się z plutonem na strzelnicę i zająłem stanowisko obronne na tym wale. I stojąc na tym wale, najpierw poczułem ból w ręce i w nodze. Naprzód świst. A Niemcy ostrzeliwali nas wtedy z moździerzy. Moździerz w porównaniu z pociskami artyleryjskimi... Pocisk artyleryjski leci parabolą, natomiast pocisk moździerzowy leci na pewną wysokość, traci szybkość i spada pionowo. Słychać tylko krótki świst. Ja usłyszałem tylko leciutki świst i tylko ból. Dostałem – lekka rana – w palec i tutaj. Dwa razy byłem ranny. I nie zwracałem na to uwagi, zawiązałem sobie to. Ale dlaczego o tym mówię? Bo potem, na drugi dzień, myśmy zostali zluwowani na odpoczynek do Warszawy, 22 czy 23 września 1939 roku wmaszerowaliśmy do Warszawy. Przygnębiający widok – Warszawa płonie. Widzimy zbombardowany Żoliborz. Zakwaterowano nas przy ulicy Królewskiej, to koło Ogrodów Saskich to jest. Domy się palą, gruzowisko leży po dwóch stronach tych... Jediną drogą to jest tylko przejście piechotą, że nie ma mowy, żeby przejechał jakiś pojazd czy coś takiego. Nasz szcztąkowy batalion został zakwaterowany przy ulicy Królewskiej 29B. Pamiętam ten adres, bo to była duża kamienica z dwoma podwórkami. Podwórko jedno oddzielone oficyną, podwórko drugie. Przyszliśmy do Warszawy, ja jestem taki bardzo spragniony, chcę wody, chce się pić strasznie. A bombardowane są już wodociągi, wody w Warszawie nie ma. Bombardowana jest elektrownia i zbombardowane są telefony. Ale widzę, że wzdłuż muru jest rurka z kranem, to widocznie dla dozorczy, który brał wodę. Tak więc odkręcam tę rurkę, woda zaczyna kapać i ja prędko menażkę, żeby... I piję tę wodę. I jak piję tę wodę, podnoszę oczy, jak to młody chłopak, widzę w oknie piękną dziewczynę, która się patrzy na mnie. „Pan spragniony?”. Ja mówię: „Tak”. „Niech pan wejdzie do nas”. No wszedłem do nich i zaraz dali mi się coś napić. „A głodny pan?”. Ja, mówię, co będę ukrywał: „Bardzo głodny”. Po chwili... Ja siedzę w pokoju. Na takim... To nie była taka... Taka sofa, jak to się nazywało, tak? I ta dziewczyna przynosi mi na talerzu kanapki, suchy chleb ze słoniną. „Proszę jeść”. Ja zjadłem, nie wiem, ile tych tych, taki zmęczony, oparłem się, zasnąłem. I wie pan, takie wielkie wrażenie zrobiło na mnie to, że otworzyłem oczy i się patrzę, ta dziewczyna zjada to, czego ja nie zjadłem, resztek. Więc sobie od ust warszawiacy odjęli, żeby nam dać. Ludność Warszawy w trzydziestym dziewiątym roku, ich postawa była naprawdę imponująca. Nas, żołnierze, jak tylko mogli, to nam pomagali. No, ale brak było wody. Ktoś powiedział: „Przecież w Saskim Ogrodzie jest fontanna”. Mówię: „Jest piosenka: »Koło fontanny«. Idziemy do fontanny”. Wzięli wiadra, poszli do tej fontanny, wracają z pustymi wiadrami. Ja mówię: „A gdzie woda?”. „Ni ma wody, bo w Saskim Ogrodzie konie kawalerskie są, no i wszystką wodę z fontanny wypili”. Stamtąd wieczorem zostaliśmy przekwaterowani na ulicę Małachowskiego koło Zachęty i tam był kościół ewangelicki jakiś, pamiętam. Po nocy ręka mnie boli, zaczyna mi się to ropieć. Dowódca kompanii mówi: „Do szpitala, żeby wam zrobili opatrunek”. Ja z tą ręką idę. Idę, pamiętam, wszedłem na Krakowskie Przedmieście, skręciłem w prawo, jest szpital św. Rocha. Wchodzę, a na korytarzu pełno leży na noszach, rannych, oczekujących na operację. Myślę sobie: „Tu nie będę czekał”. Idę dalej i jest jakiś szpital polowy. Żołnierz stoi. „Co jest?”. Ja mówię: „Ranny jestem”. „No to wchodzić”. Znowu też mnóstwo tych

rannych leży, ale wchodzi pielęgniarka, mówi: „Proszę pana, nie zrobimy, ale jest szpital dodatkowy w Uniwersytecie, niech pan tam pójdzie”. To więc ja się wracam. Patrzę, jest Uniwersytet Warszawski, brama piękna, wchodzę. Naprzeciwko bramy był jakiś gmach, no więc chyba tam będzie szpital. Podchodzę i w międzyczasie padła bomba artyleryjska czy... Nie wiem, jaka: czy to była artyleryjska czy lotnicza. I od tego podmuchu bomby, ten podmuch rzucił mnie plecami na schody, które były z tyłu. Ja się obracam, a tam drzwi wahadłowe się ruszają. Więc ja wszedłem tam, to był szpital właśnie tam. Wchodzę i myślę, że ja już mam coś chyba nie w porządku, przecież ja widzę mamę moją, jak prowadzi jakiegoś rannego. I pierwszy raz zdarzyło mi się szczypać w policzek, czy mi się to jakoś to nie przywiduje. Mama mnie nie poznała, bo ja byłem w mundurze. I ja mówię: „Mamo!”. Dopiero mama wtedy poznała mój głos. Podeszliśmy do siebie, proszę pana, w uścisku. Proszę pana, wtedy... Nie wiem, czy ktoś z państwa płakał ze szczęścia, ale ja wtedy płakałem ze szczęścia, że w tej zawierusze spotkałem mamę i to w takich okolicznościach, w szpitalu. I tak my staliśmy w uścisku, nie wiem, jak osunęliśmy się na kolana. Mama klęczy i ja klęczę. Idzie pułkownik Grot, komendant tego szpitala: „Co się tu dzieje?”. A mama mówi: „Syna znalazłam”. On się pyta: „Jak to się stało?”. Mówię: „A bo ja jestem ranny – tutaj miałem ranę – chciałem, żeby mnie opatrzyć”. „No to niech podchorąży od razu idzie”. Od razu mnie wzięli poza kolejką, nacięli mi, wyjęli mi odfamki, zaszyli to wszystko, zabandażowali, no i w ten sposób zostałem... Po tym wróciłem się do oddziału. Ale jeszcze miałem taki ciekawy przypadek. Już wiedziałem, że jest mama. Myślę sobie: „Trzeba, żeby z wekiem, może jakieś słodczyce gdzieś coś kupię czy coś”. Idę ulicą Mazowiecką i po lewej stronie była kawiarnia. Minąłem tę kawiarnię i jest nalot. Nalot? Ja widzę napisane: „Schron”, więc ja taki kucnięty biegnę w stronę tego schronu i w bramie zderzyłem się z jakimś żołnierzem hełmem, hełmami i zakląłem ostro. Ale patrzę się, lampasy ma. Podnoszę głowę do góry, generał Tokarzewski. A Tokarzewski był surowym człowiekiem. „Podchorąży, jakiego wy języka używacie?”. Coś zaczął mnie [strofować]. A ja do niego... Ponieważ on jeździł na nasze obozy, ja mówię coś: „Przepraszam, druhu generale” czy coś takiego. „A skąd ty jesteś?”. „Z Kalisza”. „A jak się nazywasz?”. „Pertkiewicz”. „A to syn aptekarza?”. „Tak”. No i potem pyta się, czy jestem głodny. Ja mówię: „Głodny, tak”. Ale poszliśmy najpierw do schronu. W schronie, proszę pana, mnóstwo ludzi i śpiewają, modlą się. I potem śpiewają: „Boże, coś Polskę”. I zapamiętałem, jak oni śpiewali, kończyli: „Ojczyznę wolną racz zachować Panie” i to mi tak utknęło, że ta pieśń ma różne wersje końcowe. Myśmy śpiewali w czasie okupacji: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”, a teraz cieszymy się i śpiewamy: „pobłogosław Panie”. A wtedy w piwnicy śpiewali: „racz zachować Panie”. Wyszliśmy z tego schronu. Jak to było, to już mi trudno powiedzieć. Tokarzewski kazał iść ze sobą i poszliśmy. Tam był taki bar, „Pod Wróblem” się nazywał. Przed tym stoją żołnierze, generał mówi, że: „Podchorąży jest ze mną”. I tam była stołówka, były na stołach talerze, a na każdym talerzu, proszę pana, był pergamin. Siedzieliśmy z Tokarzewskim koło stolika, kelnerzy czy ktoś tam, przynieśli gulasz, generałowi dali, mnie. Gulasz z koniny. Oj, jak mi smakował wtedy. Ja jem, a generał nie je. Ja mówię: „A pan generał?”. On mówi: „Ja jestem jarozsem”. Ja zjadłem dwie porcje koniny wtedy, tak mi to smakowało. To potem generał poszedł gdzieś indziej, ja już wróciłem. To wspomnienie z generałem też takie, tak miło to wspominać. A jeszcze jedno, przepraszam, nie skończyło się. Wracaliśmy z generałem, wstąpiliśmy do kawiarni i tam było tak: wydajemy tylko po jednym ciastku. Żeśmy poszli. Generał mówi: „Proszę ciastka”. A ta: „Czy wina też?”. „Też wina”. A ja jako harcerz nigdy wina nie piłem, ale myślę sobie: „Spróbuję to”. Nie miałem pojęcia, jak się pije wino, no to wziąłem kieliszek, jednym haustem wypilem, a generał mówi: „Człowieku, wino to się smakuje, trzeba smakować to wino”. Mówi: „To wypij też moje, bo mi się spieszy”. Więc ja zostałem, generał zjadł tylko ciastko i poszedł. I takie mam to wspomnienie. Ten odpoczynek w Warszawie to był pełen stresu, bo rozpoczął się wtedy ten

szturm generalny na Warszawę. W dzień bombardowało lotnictwo. Bardzo deprymująco działały naloty sztukasów. To były jednopłatowe samoloty, które wznosiły się na dużą wysokość. Nie miały podwozia chowanego, tylko podwozie sztywne. I w owiewkach wokół kół miały syreny. Jak sztukas bombardował, nie lecąc w poziomie, tylko nurkował nad celem, zrzucał bomby i uruchamiał syreny. Raz, działa deprymująco świst, warkot samolotu, świst syreny i świst bomb. To był taki moment nie tylko, żeby zniszczyć człowieka fizycznie, ale i moralnie załamać. Pierwsze wrażenia to były takie bardzo deprymujące, później żeśmy się przyzwyczaili. 26 września w trzydziestym dziewiątym roku byliśmy na odpoczynku. Przychodzi goniec, że batalion, właściwie, że nasz pułk, który się składał z dwóch batalionów po 400 ludzi, już takie małe batalioniki, ma odbić Dworzec Zachodni, bo jest spodziewane, że przyjedzie niemiecki pociąg pancerny. I z placu Małachowskiego szliśmy ulicami wieczorem, a domy się paliły, pełno gruzu z jednej strony, z drugiej strony, ludzie koczujący na zewnątrz. Straszna groza, zniszczenie to Warszawy było okropne. Weszliśmy w Aleje Jerozolimskie. Aleje Jerozolimskie z jednej strony zupełnie zniszczone są. Potem szliśmy ulicą Grójecką aż do Dworca Zachodniego. Tak jak mówiłem, Niemcy bombardowali Warszawę w dzień, lotnictwo, a w nocy bombardowała artyleria i to nie jakieś wojskowe obiekty, bombardowano bezcelowo, bombardowano całą dzielnicę. Nie pamiętam, jaka to ulica była, gdzieś w okolicach Grójeckiej. Tam chcieliśmy przejść tą ulicą, nie było mowy, trzeba było iść okrężną drogą. W końcu doszliśmy do... W stronę szliśmy Dworca Zachodniego. Już było, świeciło. Kompania, która szła wzdłuż torów, nacierała na Niemców, którzy obsadzili Dworzec. Niemcy, widząc, uciekli, a my, patrząc się na zachód, to od torów... Byliśmy przy samych torach, mój oddział. Ja byłem przy samych torach. Idziemy normalnie, natarcie tyralierą. W pewnym momencie ogień zaporowy, ogień zaporowy moździerzy i artyleria, ale tak silny, że nie można było się w ogóle ruszyć. Co wtedy żołnierz robi – ma łopatkę, chce okopać się. Ale tam tak twardy grunt, że nie dało rady zrobić sobie jakiejś kryjówki. Leżeliśmy tak i czekaliśmy, aż przestaną... Ogień artyleryjski czy moździerzowy, żebyśmy mogli rozwinąć natarcie. A co się okazuje? Tam jest... Myśmy szli wzdłuż torów, a po drugiej stronie, tam, jako styczna, była jakaś ulica i w domach tych usadowili się Niemcy, tam umieścili karabiny maszynowe i normalne karabiny. A nas ostrzeliwała artyleria. Nas artyleria strzela, ponieważ był bliski kontakt między... Blisko było już między Niemcami a nacierającymi, ostrzeliwali pociskami, nazywają się to – szrapnele. Szrapnel wybucha w oznaczonym miejscu przez artylerzystę w powietrzu i z łuski wylatują takie lotki, kuleczki takie. Ja w pewnym momencie czuję taki szum w głowie. Co jest? A szrapnel uderzył w hełm, przebił hełm, ześlizgnął mi się tu po kości, raniąc mi tutaj czaszkę i utknął w ramieniu, urywając ucho. Ja tu mam operację plastyczną, więc tego nie widać. Ja leżę taki... Serce mi tak... tak krew leci z tej rany. Więc zdjąłem hełm, zrobiłem sobie opatrunek. Zrobiłem sobie opatrunek i dalej z brzegu leżę, wybucha znowu drugi szrapnel, dostaję w łopatkę, tutaj, w tym miejscu. Szalony ból. Zatrzymał się na kości. Koło mnie leżał mój kapral-obszernik. Ja mówię: „Ruryski, daj mi swój opatrunek”. Ja tak go, trąc go i czuję jak mu nogi drżą. On widocznie też był ranny i konał. I wtedy, jak ja byłem tak obrócony do niego, Niemcy otworzyli ogień z karabinu maszynowego i dostałem wtedy tutaj w szyję tak, że mi tutaj wyszło, łamiąc mi tutaj ten staw żuchwowy. Krew się leje, ja tak leżę, pełno krwi. Podnoszę oczy, a u mnie wszystko czerwone. Bo ten powidok taki jest, tak? Zimno się robi, bo upływ krwi, dostaję czkawki. Myślę sobie: „O, to już jest koniec”. Obróciłem się na wznak, zacząłem się modlić o dobrą śmierć. Nie wiem, kiedy straciłem przytomność, ale musiałem być nieprzytomny kilka godzin, bo jak odzyskałem przytomność, już było po bitwie, po walce. Ale co znaczy młody organizm. Wstałem, podeszedłem do wału, na którym były szyny, wdrapałem się po tym wale, wszedłem na peron i widzę... Chciałem wejść do tunelu. Zobaczyłem naszych żołnierzy i wówczas straciłem siły, zwałem się, proszę pana, po tych schodach. Była tam nasza kompania. Z miejsca mnie opatrzyli, zrobili opatrunek.

Ja drzę z zimna. Znalazła się jakaś pierzyna. Położyli na betonie, przykryli jeszcze tym czymś i ja taki leżę zupełnie nieprzytomny. Też straciłem przytomność. Kompania odeszła, a ja zostałem w tym tunelu. Budzę się w nocy, niezorientowany, co jest. Z lewej strony, macam, leży trup, człowiek. Z prawej strony beton, bo byłem przy ścianie. Myślę, do dziś to pamiętam: „Pochowali mnie żywcem w grobowcu”, taka mi myśl przyszła. Po jakimś czasie widzę po lewej stronie światełko, ktoś idzie. Ja chcę wołać, ale nie mogę wydobyć głosu, szepta tylko, bo przestrelone jest, tak? Więc wyjmuję łopatkę, miałem łopatkę, zaczynam walić w beton. Na ten sygnał przyszli ludzie i mówią: „O! Wśród zabitych jest żywy jeszcze!”. Mówi: „Niech pan poczeka, zaraz przyniesiemy nosze, to pana wyniesiemy”. Poszli po te nosze. Nie wiem, jak to długo trwało, ale nie przyszli z noszami, tylko przynieśli drzwi, takie jak tu są, takie jedne, pojedyncze. Położyli mnie na tych drzwiach i zanieśli mnie na punkt opatrunkowy i na drugi dzień do szpitala. W szpitalu leżałem jeden chyba dzień i całą noc na korytarzu. Zimno strasznie, bo nie było szyb w oknach. Okna były pozastłaniane prześcieradłami, a na noc jeszcze przybijano koce. Leżałem przed salą oficerską. Zmarł jakiś oficer, jego wynieśli i na to miejsce mnie wtedy dali. To zrobili wtedy operację. To była strasznie bolesna operacja, bo nie było światła. Wieczorem robiło się, do wieczora nie można było robić. Nie było żadnych przyrządów, znieczulenie było tylko eterowe. Aha! Ponieważ to było wieczorem, nie mogli robić eterowego, więc mnie tylko chlorkiem metylu tu znieczulili, ale to jest powierzchowne. A jak się dobierali do nerwu, to takie było wrażenie, jakby wszystkie zęby wyrwali. Ale dzięki temu mi jakoś zrobili tę operację koło nerwu, tak że ja odzyskałem czucie tutaj, no i wyprostowała mi się warga, bo przedtem to ja miałem w ten sposób, tak. W szpitalu przebywałem cały miesiąc. Moja mama spotkała kolegę, który powiedział, że byłem ranny. Zaczęła mnie szukać po szpitalach i w końcu znalazła mnie w Szpitalu Ujazdowskim. Przychodziła codziennie. Ponieważ miała wykształcenie pielęgniarskie, więc pomagała przy tym opatrywaniu mnie. Mama później zachorowała, przeziębiała się. Ojciec przyjechał z Kalisza, zabrał mamę. Mama dostała zapalenia płuc, ale z tego wyszła. A ja zostałem na sali oficerskiej. Pewnego wieczoru przychodzi ordynator, mówi: „Proszę panów...”. A ja byłem, leżałem w Szpitalu Ujazdowskim, pawilon 7, w siódmym pawilonie. Mówi: „Z pierwszych dwóch czy trzech pawilonów Niemcy wszystkich oficerów wywieźli. Kto może, niech ucieka. Damy lewe papiery”. Ja już byłem na tyle, że mogłem chodzić, ale byłem słaby. Ale dwóch oficerów z Ostrowa, to jest za Kaliszem, powiedziało, że oni są zdrowi, że oni uciekają. I zabrali mnie z sobą. No i mając te lewe dokumenty, w nocy doszliśmy na dworzec kolejowy. A wie pan, z Ujazdowskiego na dworzec kolejowy to jest kawałek drogi, ale się jakoś to przeszło. Rano wyjechaliśmy z Warszawy. Przez cały dzień odległość ponad sto kilometrów do Łodzi to się jechało cały dzień. W nocy przenocowaliśmy na dworcu, następnego dnia do Kalisza. No, a w Kaliszu dostałem się do domu w jakiś sposób i w dalszym ciągu leczyłem się ambulatoryjnie. Wyszedłem ze szpitala już jako inwalida. Dlaczego. Bo jak miałem obandażowaną twarz i tutaj, nastąpił, szczękocisk to się nazywa. Nie mogłem otworzyć ust, tylko lekko się rozchyłało. Więc zrobiono mi, lekarz kazał zrobić taki klin, który musiałem nosić w ustach i coraz bardziej i głębiej go wpychać, żeby można było otworzyć usta do jedzenia, bo tak jadłem zupę, to tylko rozchylałem wargę i tak w ten sposób mogłem jeść i rozdrobnione przedmioty. No do dzisiaj mam ograniczoną tak, że nie mogę otworzyć szeroko ust jak normalnie każdy człowiek. Na przykład mam trudności z jedzeniem... Z jabłkiem. Więc duże jabłko muszę pokroić. I to wtedy była ta przygoda z tym Chłodowskim, o którym panu mówiłem. Spotkałem tam kolegę z podchorążówki. Mówi, pyta się, co robię. Mówię: „Leczę się”. „No jak to ty leczysz się? Już nawiązujemy kontakt z konspiracją... Robimy konspirację”. Skontaktował mnie z sierżantem Ambroziakiem, czy Ambrozik. On przedstawił nam plan, na czym polega początek konspiracji. Naprzód, to znaczy było wtedy rozpoznanie, kto jest z wojskowych, co można, jaką jednostkę można zbudować, jak drużynę i to wszystko. I już się

konspiracja rozpoczęła, rozwinęła, tyle nas... 11 lutego 1940 roku, gdzie wpuścił nas Niemcy w drzwi: „Ubierać się, zabrać najpotrzebniejsze rzeczy, opuszczać mieszkanie”. Wyszliśmy w ten sposób do szkoły podstawowej. Tam kilka dni byliśmy, potem przenieśli nas do jakiegoś tam obozu pod Kaliszem, a stamtąd później, pociągami, pojechaliśmy... Załadowano nas do pociągu osobowego. W przedziale, w którym jedziemy, jest osiem osób. Ludzie byli z tobołkami i siedzieli jeden obok drugiego, albo na kolanach, tak że tak było tłoczno. Były wagony nieopalone, ale nie było nam zimno, chociaż panowała noc. Zawieźli nas do Krakowa, trzymali nas w forcie przez pewien czas. Ten koło stacji kolejowej, jaki to jest fort? Tam był jakiś fort taki, austriacki. Nie wiem, czy teraz istnieje. No i po pewnym czasie nas zwolnili. Ponieważ ojciec był aptekarzem, poszedł do Izby Aptekarskiej, żeby posadę gdzieś otrzymać. A w tym czasie w Tarnowie, przed wojną było osiem aptek. Większość to były apteki żydowskie. Więc Frank wydał rozkaz: wszystkie apteki żydowskie mają być zamknięte. Żydom nie wolno prowadzić aptek. Dlaczego? Bo były środki silnie działającej trucizny, bali się jakoś... I sabotaż czy coś. W efekcie były tylko dwie apteki czynne. I pojechał delegat Izby Aptekarskiej do Tarnowa z ojcem, do starostwa, otrzymali klucze i ojciec musiał uruchomić aptekę, tutaj przy placu Kościuszki, gdzie był do końca okupacji. I tak to się skończył mój pobyt w Wielkopolsce i przyjazd do Tarnowa.